

Maja była studentką filologii polskiej na UG. Przed miesiącem napisała do niego maila, przedstawiając się wprost jako zadeklarowana fanka jego twórczości i w taki oto sposób zaczęła się ich znajomość. Najpierw korespondencyjna. Potem jednak, kiedy przestała jej wystarczać wymiana wiadomości, poprosiła go o spotkanie (pod pretekstem złożenia autografu). Poczuł się doceniony i nie potrafił jej odmówić, choć z reguły unikał spotkań z czytelnikami, zwłaszcza teraz, kiedy nie miał specjalnie czego promować i czuł się poważnie wypalony (nie mówiąc już o chronicznym deficycie czasu). Kiedy ją zobaczył po raz pierwszy, nie mógł uwierzyć własnym oczom (wcześniej nie miał odwagi poprosić o zdjęcie i wyobrażał sobie jakąś niechlujną grubaskę w okularach, posuwaną jedynie przez czas). Widział przed sobą bardzo zgrabną i zadbaną kobietę, która miała w sobie to magnetyczne „coś”, co powodowało u mężczyzn przyspieszoną pulsację. Wtedy to odżyły w nim jakieś ukryte kompleksy, dopóki adoracja, którą wyczuł w jej słowach, gestach i spojrzeniu, z powrotem nie przywróciła mu względnej pewności siebie. Oczywiście, gdyby był statystycznym Kowalskim, stojącym przed nią w kolejce do sklepu, zupełnie nie zwróciłaby na niego uwagi, ale pan pisarz, wiadomo, to jednak wyższa półka; tutaj nawet niesubtelności – włosy w nieładzie, niedogolenie i notoryczne zmęczenie w oczach – mają swój urok.

– Mieszkam sama, bo właścicielka lokalu, która przejęła go zresztą niedawno po babci, wyjechała do Francji na Erasmusa – wiesz, taki program wymiany studenckiej, i zostawiła mi mieszkanie pod opieką. Czasem siedzę do trzeciej, czwartej, czytam, piszę wiersze. Chciałbyś przyjść,

pogadać, to... – zawiesiła głos, jakby była zakłopotana.
– Po prostu wpadnij, będę czekała.

Wiedziała przecież, że ma żonę, a mimo to zapraszała go o takiej porze. Musiała sobie zdawać sprawę z tego, czym to się może skończyć, a może raczej, do czego to ma doprowadzić – pytanie tylko, na ile chciała osiągnąć właśnie taki skutek. Z początku w ogóle nie przyjmował do wiadomości, że może się u niej tak po prostu pojawić, ale potem zaczął spacerować nocami i zastanawiał się, co by było, gdyby jednak zebrał w sobie tę odwagę i zdobył się na ten krok. Chodził od skweru Kościuszki do Świętojańskiej, potem odbijał na Władysława IV przez Armii Krajowej. Przechodził obok jej bloku, zatrzymywał się i długo patrzył na domofon, wiedząc, że dzieli ich już tylko granica jednego dźwięku.

Dzisiaj, choć ręka zadrżała mu po raz kolejny, nie cofnął jej. Po prostu zadzwonił.

– Tak? – Jej głos wydał mu się ospały.

– Rafał... – mruknął nieco speszony.

– Rafał, to naprawdę ty?

I nie czekając na potwierdzenie, wpuściła go do środka.

A potem to wszystko, co miało miejsce, przynajmniej do pewnego momentu, było przewidywalne.

Przewidywalne jak twoja proza – pomyślał autoironicznie.

Błogosławieństwo autoironii potrafiło ocalić niejednego pisarza przed śmiesznością. Jeśli nie jest wystarczająco wielki, wystarczy, że będzie miał tego pełną świadomość i od czasu do czasu przyzna się do tego przed innymi; wszelkie zarzuty o pretensje, megalomanię czy wygórowane

w stosunku do możliwości ambicje, będą wówczas spychane na margines bezpodstawności.

Szanowano go za ten ostentacyjnie okazywany dystans względem siebie. Zawsze wyczekiwano tego momentu, kiedy spuści powietrze z nadętego balonu, rzuci zgrabną ripostę o autokrytycznym zabarwieniu. Ale bywało to kłopotliwe, zwłaszcza wtedy, kiedy jego niedyspozycja literacka czy towarzyska była głębsza, kiedy wychodziły z niego złość, kompleksy, kiedy dawała o sobie znać niezgoda na ukrywanie własnych ambicji i nieustanne odgrywanie roli pajaca, którą tyleż wziął na siebie, co mu ją przypisano.

I siedział na kanapie Mai, sącąc jedynie colę (żeby zachować pozory kontroli nad sobą), wciąż zakłopotany swoją obecnością tutaj. Ona tymczasem piła jakieś półwytrawne wino, ciągle podsuwając mu drugi kieliszek, ale on konsekwentnie, chociaż grzecznie, odmawiał.

W swoim komplementującym monologu uwzględniła prawie wszystkie jego prozatorskie dokonania – nawet te, o których on sam wolałby zapomnieć. Oczywiście, pochwały, nawet jeśli bywają kłopotliwe, przede wszystkim są przyjemne, bo w każdym tkwi wewnętrzna potrzeba bycia docenianym. Szczególnie w drugoligowych pisarzach.

Och, jakże wspaniały był ten jego kryminał „Martwy wstanie ostatni”, jakże zaskoczyło ją rozwiązanie akcji. Takie oryginalne! Któż mógł podejrzewać, że facet na wózku jest tak naprawdę mordercą?!

No przecież nikt, kto nigdy nie miał w ręku „Kurtyny” Agaty Christie czy nie oglądał „Ściganego przez samego siebie” z cyklu „07 zgłoś się” (nie wspominając o powieściowym pierwowzorze scenariusza) albo jednego ze skeczów z „Małej Brytanii” – dopowiedział w myślach.

Och, jak wzruszające było spotkanie dwójki głównych bohaterów w „Ścianie” po obaleniu muru berlińskiego – mężczyzny z NRD i kobiety z RFN, którzy korespondowali ze sobą przez niemal dziesięć lat. A jego to żeno- wało. Z perspektywy czasu żałował, że nie dowiadują się, że jedno z nich jest już w związku, najlepiej małżeńskim. Taki ckliwy happy end, jaki zgotował bohaterom, ściągnął na niego falę krytyki, której mógł przecież uniknąć, gdyby wykazał się wystarczającą zapobiegliwością. A przecież miał dobre intencje. Nie chciał wszakże zasmucać czytelników – ostatecznie wyszło na to, że obraził ich inteligencję. Miał nawet w głowie ciąg dalszy, ale jak pisać ciąg dalszy do czegoś, co się nie obroniło? To jak wniesienie apelacji od przegranej sprawy – startowało się ze straconej pozycji.

Och, jak bardzo przypadł jej do gustu młody prawnik – cwaniak z „Pozwanej”. Krytyka się nie zna. Kogo obcho- dzą szyderstwa znawców przedmiotu, punktujących, że z książki zalatuje ignorancją prawną i błędami meryto- rycznymi? Przecież każda powieść jest mniej lub bardziej umowna. Jak mawiał Flaubert – nie trzeba być jajkiem na patelni, by opisać jajecznicę.

– A to ty mnie tak broniłaś na forum... – westchnął, pokrzepiony jej słowami. – Dziękuję.

Mówiła, patrząc na niego (równie łąpczywie, co wlewała w siebie wino), przerywała na chwilę, a potem znowu wystrzeliwała z siebie kaskadę słów, tyle że za każdym razem z coraz mniejszym sensem.

No przecież, na litość, ileż może trwać to preludium, ta gra wstępna słów. Tak, wie doskonale, że to ostatni mo- ment, żeby się wycofać – ma wszakże żonę i dziecko. Ale przecież był w stanie w jednej chwili przywołać tysiące

usprawiedliwień. Żona nie okazuje mu żadnej czułości, nie jest zainteresowana żadną formą seksu, tłumacząc mu, że tak to jest ze świeżo upieczonymi matkami; do tego nie wykazuje żadnego zrozumienia dla jego pisania, robi mu ciągłe wyrzuty, wypowiada nieustannie litanie żalów i pretensji. A dziecko? On tego dziecka przecież nie chciał... Teraz tylko przeszkadzało. Przeszkadzało mu w pisaniu, a im w pożyciu. Zamiast zjednoczyć, oddaliło ich od siebie.

Przecież jak tu wchodził, podejmował określoną decyzję, liczył się z konsekwencjami. Teraz nie było odwrotu... To znaczy był, ale przecież statystyczny zdrowy facet, który ma przed sobą napaloną młodą kobietę, niezależnie od okoliczności pobocznych, nie widzi już wyjścia, widzi tylko wejście.

Wchodził w nią delikatnie, nieco wstydliwie, a ona najpierw opłótła go swoimi długimi nogami, a potem, tonem nieznoszącym sprzeciwu, kazała mu przyspieszyć. Kiedy zastosował się do tego polecenia, jej oddech stał się cięższy, a ciałem zaczęły targać spazmy. On, najpierw zupełnie porwany i podporządkowany przez falę namiętności, z czasem pod wpływem stresu i wyrzutów sumienia, zaczął przenosić swoje myśli gdzie indziej. Wreszcie stała się ostatnia rzecz, której się w tym momencie mógł spodziewać – poczuł, że z wolna ustępuje mu erekcja, że każdy kolejny ruch staje się coraz bardziej zimny i mechaniczny, i zamiast przybliżać, oddala go od seksualnego spełnienia.

Przy wszystkich tych marnych usprawiedliwieniach, którymi się zastraniał, wiedział przecież doskonale, że nie powinno go tutaj być. Nawet pogodzony ze swoją zdradą, nie mógł przestać myśleć o tym, że krzywdzi wiele osób,

w tym również Maję. Gdyby nie to, że jego seksualna niemoc była kompromitująca, uznałby z satysfakcją, że nie jest jednak takim skurwielem, za jakiego się uważał.

Wyrwał się z miłosnego objęcia i zaczął zbierać rozrzucone wokół łóżka rzeczy.

– Powinienem się zbierać... – rzucił nieprzytomnie, nie patrząc w jej kierunku.

– No co ty? Co się stało? Zostań – wyciągnęła w jego kierunku rękę. – Nie chcę, żebyś tak zapamiętał nasze spotkanie. Przepraszam...

Za co przepraszala? – pomyślał i nagle zrobiło mu się jej bardzo żal. Prawie tak jak Marty.

Leżeli. Mimo seksualnego niespełnienia, jej obecność, zapach jej ciała, pełne zrozumienia i czułości spojrzenie, ciepło głosu, wszystko to sprawiało, że poczuł się znowu lepiej, stopniowo odzyskując pewność siebie.

Teraz to on mówił. Opowiadał o nowym projekcie (antologii) i swoich pomysłach na kolejne powieści. O tym, że zgłosił się do niego producent jakiegoś serialu kryminalnego gotowy zaadaptować „Martwy wstanie ostatni” na potrzeby jednego z odcinków. Potem spytał ją, czy przeszkadza jej, że ma żonę i dziecko. Odpowiedziała wyrozumiale, że każdy potrzebuje ucieczki i powrotu do siebie, więc nie powinien się przesadnie obwiniać. Dodała też, że dla niej obcowanie z jego osobą ma głębszy wymiar, nawet jeśli miałyby się okazać incydentalne.

Dobrze to ujęła – każdy potrzebuje ucieczki i powrotu do siebie – powtarzał w myślach. Uspokoiło go, że Maja zdaje sobie sprawę z tego, że po tej nocy, albo w innej, nieco dłuższej perspektywie, ich drogi rozejdą się, wrócą

do punktu wyjścia, czyli okazyjnej korespondencji. Że nie będzie łąpczywie wyciągać w jego kierunku rąk, jeśli on nie wyrazi woli i zainteresowania w podtrzymaniu tej znajomości – czy to na poziomie ogólnym, czy w fizycznym jej wymiarze.

Opowiadał jej, że żona go nie rozumie i nie docenia, traktując jego pisanie jako ciężar, a nie przywilej. Wysyła go do „poważnej pracy”, bo uważa, że z całej tej „pisaniminy” (na którą składała się właściwa twórczość, recenzje wewnętrzne, felietony internetowe i redakcja tekstów) wyciąga dwa razy mniej niż miałby, gdyby zatrudnił się w biurze, czy nawet jako robotnik fizyczny.

– Jako robotnik fizyczny, rozumiesz? – powtórzył oburzony, a ona zaśmiała się nerwowo. – Wystarczyłoby, żeby przestała unosić się honorem i wzięła pieniądze od swojej matki. Stara ma dużą rentę, nie musi zapisywać połowy tego na Licheń. Lepiej dałaby córce.

Kiedy mówił, uwalniając negatywne emocje, jej ręka co jakiś czas zanurzała się pod kołdrę i pieściła jego urażoną niepowodzeniem męskość. Najpierw próbował ją delikatnie powstrzymywać upominającym spojrzeniem, ale potem, kiedy poczuł, że penis powoli nabrzmiewa, przygotowując siebie i jego do drugiej szansy, pozwolił jej kontynuować.

Telefon. Właśnie teraz. Marta. Odebrać czy nie odebrać – bił się z myślami. Jeśli nie odbierze, rozhisteryzowana kobieta gotowa jeszcze zadzwonić na policję, zgłaszając jego zaginięcie i wówczas dopiero przekona się o smaku prawdziwych kłopotów.

– Gdzie jesteś? Tak się bałam! – usłyszał głos żony, przewidywalnie uderzający w dramatyczną tonację.

– Niepotrzebnie – odparł sucho, wskazując jednocześnie Mai palcem, żeby zachowała milczenie. – Jestem...

Poczuł coraz szybszy ruch dłoni Mai i powracające podniecenie.

– Jestem w hotelu Gdynia...

– W hotelu? Zwariowałaś? Nie mamy pieniędzy, a ty wynajmujesz sobie pokój hotelowy? – bardziej krzyczała niż pytała.

– Muszę kończyć... Uspokój się. Wszystko będzie dobrze. – Zirytowany przerwał połączenie. Teraz, kiedy był wściekły na żonę, miał motywację i ochotę, żeby rzucić się na Maję, zerznąć ją.

Kiedy przyciągnął ją do siebie, próbując całować w szyję, wyprężyła się i powstrzymała go ruchem ręki, dając do zrozumienia, żeby zastopował.

– Zabawmy się... w sukę – zaproponowała nieoczekiwanie.

To było chore i złe, ale zarazem ekscytujące. Ach, ci studenci! Są tak zdemoralizowani, że zwykły seks im już nie wystarcza; inspirują się najwyraźniej pornografią internetową, szukając dodatkowych bodźców i wrażeń w rozmaitych uduśnieniach. Bezwzględnie, świat upadał a on w tym upadku brał czynny udział.

Z początku myślał, że ma oprowadzać ją na smyczy po pokoju i brać od tyłu, ale ona uświadomiła mu bez ceregieli, że chodzi jej o coś zgoła innego. Chodziła nago na czworakach, prowadzona przez niego na smyczy, wydając z siebie dziwaczne dźwięki przypominające raczej skowyt niż szczekanie, od czasu do czasu stawiając się mu, jak na niesubordinowanego czworonoga przystało. Potem nagle

zatrzymywała się i skamlała; wreszcie podnosiła się, brała do ust jego męskość, ssła chwilę, a potem wracała znowu do pozycji wyjściowej.

Czuł się zakłopotany całą tą niekonwencjonalną, groteskową grą; raził go widok kobiety, która w imię jakiejś perwersji, w której uczestniczył, odgrywała rolę zwierzęcia. Przeszkadzało mu samo odwołanie do tak niskich instynktów – satysfakcji powiązanej z upodleniem. Ale mimo to, z każdą kolejną turą, gdy kolejnymi muśnięciami warg i języka przybliżała go do wyczekiwanej ejakulacji, a potem nagle zostawiała go z nabrzmiałym penisem i znowu biegła na czworakach po pokoju, każąc mu obserwować swoje zwierzęce odruchy, stawał się coraz aktywniejszym i bardziej zaangażowanym uczestnikiem tej „zabawy”.

Kiedy dłużej niż do tej pory odmawiała mu kolejnych pieszczot, przyciągał ją do siebie na smyczy gwałtownie – tak bardzo, że jej twarz wykrzywił nagły grymas bólu.

– Dokończ, błagam cię, już... teraz... – prosił, ale ona znowu oddaliła się, ignorując jego potrzeby. Co gorsze, tym razem jakby wcale nie zamierzała szybko wracać, a zamiast zaspokajać go, zaczęła biegać jak oszalała już nie tylko po pokoju, ale po wszystkich pomieszczeniach; śmiała się i warczała na przemian, powodując jednocześnie jego wściekłość i konsternację.

Czuł, że traci kontrolę tak nad nią, jak i nad sobą. Być może właśnie o to jej chodziło. Może był niewystarczająco męski, zbyt mało władczy i wymagający. Może chciała go skłonić do większego zdecydowania, a nawet agresji.

Suko, chcesz, żebym postępował według twoich zasad? Nie ma sprawy – pomyślał i czując narastający opór,

pociągnął z całych sił za smycz – raz, drugi, trzeci. Maja wydała z siebie dziwny odgłos i osunęła się na podłogę. Początkowo założył, że to pewnie jakiś nowy element gry. Ale ona nie dawała żadnego znaku życia i trudno było doszukiwać się w tym jakiegoś aktorstwa. Jej bezruch wydawał się po prostu bezwarunkowy.

Rzucił się do niej, pochylił i zaczął nią nerwowo potrząsać, ale ona nie reagowała w żaden sposób – nie zaśmiała się nagle, jakby tego sobie życzył, nie dała mu też znać, że dał się nabrać.

Puls, sprawdzić, czy żyje. Słyszał co prawda o zadziergnięciach, ale nie przypuszczał, że to może być takie łatwe, takie przypadkowe. Panika sprawiła, że właściwie nie wiedział już, gdzie tego pulsu szukać; jego palce wędrowały po omacku po przegubach jej ręki. I wydawało mu się na przemian, że czuje tętno, albo że to nacisk powoduje pulsację jego własnych komórek. Zdjął jej z szyi tę przeklętą smycz i cisnął ze złością w przeciwny kąt pokoju. Znowu zaczął potrząsać bezwładnym, może i gasnącym ciałem, tym razem jednak kompulsywnie, niemal wściekle, jakby chciał wymusić na niej jakiekolwiek oznaki życia. Lecz ona pozostawała głucha na jego wezwania, krzyki i prośby przemieszane z desperacką próbą cucenia.

Przecież to niemożliwe, żeby ją zabił! To jakiś koszmar – powtarzał sobie, ale nieruchome, tracące zdrowy kolor ciało przypominało mu, że to wszystko dzieje się naprawdę; co więcej, on miał w tym swój sprawczy udział.

Nawet gdyby pozbyć się ciała, co by to tak naprawdę zmieniło? Przecież ktoś zgłosi zaginięcie, przecież Bałtyk też mówi ciałami topielców, których wypłukuje na brzeg albo unosi po powierzchni napuchniętych... Poza tym,

łatwo powiedzieć – „pozbyć się ciała”. Przecież nie miał nawet samochodu, a poza tym wszystko działo się w bloku; trudno będzie tak po prostu znieść lub wyrzucić ciało z trzeciego piętra, pozostając niezauważonym i nie wzbudzając niczych podejrzeń. Wszystko stracone – wszędzie ślady jego obecności, i tak do niego dotrą... Z drugiej strony, jeśli będzie mataczył, zaprzepaści być może swoją szansę udowodnienia, że to był tragiczny wypadek, a nie zabójstwo z premedytacją, i ściągnie na siebie tylko surowszą kwalifikację karną.

A może jeszcze żyje? Może nie jest za późno? Przecież jeśli istnieje dla niej cień szansy, on nie może go zlekceważyć, powodowany strachem przed odpowiedzialnością. Powinien przecież zadzwonić z jej telefonu i wezwać karetkę anonimowo... Boże, dlaczego o tym nie pomyślał – przecież karetka jest na sąsiedniej ulicy, na Żwirki i Wigury; będą tu w górę pięć minut. Wiedział, że jeśli ją odratują, na pewno będzie miała do niego pretensje, pomimo że sama była pomysłodawczynią tego wulgarnego spektaklu, a więc w jakiejś części ponosiła odpowiedzialność za to, co się stało. Zakładał, że jej uwielbienie ustąpi miejsca nieposkramialnej wściekłości.

Nagle usłyszał pukanie. Najpierw zamarł, a potem zakradł się cicho do drzwi, wyjrzał przez judasza – w oświetlonej klatce schodowej zobaczył starszą kobietę.

– Uspokoisz się tam, czy nie? Ty kurwo, zobaczysz, zobaczysz, teraz pójde na policję, skoro administracja taka niegramotna. Czwarta w nocy, na litość boską. Ludzie chcą spać! Ostatni raz cię ostrzegam!

Stara postąpa chwilę w milczeniu, próżno wyczekując reakcji, po czym zapukała ponownie do drzwi. Kiedy i tym

razem odpowiedziała jej cisza, mruknęła coś pod nosem niezadowolona i skierowała się schodami na dół. Wojnarski odetchnął z ulgą, ale była to przecież ulga ledwie częściowa.

Spojrzał na Maję; ta z każdą upływającą minutą wydawała mu się coraz bardziej prawdziwie i nieodwołalnie martwa, jakkolwiek absurdalnie by to nie brzmiało.

Nie ma czasu na szukanie jej komórki. Nie może zadzwonić ze stacjonarnego, bo ze względu na krótki czas reagowania ryzykowałby spotkanie z ekipą pogotowia ratunkowego. Nie może też zadzwonić ze swojego telefonu, bo jeśli na pogotowiu mają identyfikator numerów, szybko zostanie zdekonspirowany. Musi dotrzeć do jakiejś budki, ale z powodu napięcia i paniki nie był w stanie przypomnieć sobie, czy najbliższa znajduje się przy budynku poczty na 10 Lutego, czy gdzieś bliżej. Rzucił jeszcze jedno spojrzenie w kierunku ciała Mai, a potem westchnął bezradnie i wreszcie zdobył się na wyjście z mieszkania. Oddychał ciężko, czując się jak w jakimś sennym, dusznym koszmarze. Chciał zejść – w miarę cicho – pospiesznym krokiem; nawet nie spostrzegł, kiedy zaczął biec.

Dotarł wreszcie do budki telefonicznej przy poczcie. Wyczekał na moment, kiedy jakiś dziwny, przygarbiony mężczyzna, który się tam z jakiegoś powodu kręcił, oddali się na bezpieczny dystans. Zadzwonił.

Młoda dyspozytorka przyjęła informację i powiedziała, że „chłopcy zaraz tam będą”. Próbowła o coś dopytywać, ale on natychmiast odłożył słuchawkę. Poczul, jak mimo panującego chłodu jego czoło zraszają krople potu.

Wrócić do domu. Uspokoić relacje z żoną. Czekać na rozwój wydarzeń. Próbować udawać przed wszystkimi, że

nic się nie stało. Łatwo powiedzieć, trudniej sobie to nawet wyobrazić, nie mówiąc już o wykonaniu.

Rozdygotany, śmierzący seksem i obcą kobietą, staje grubo po czwartej nad ranem w progu, zdejmując spokojnie kurtkę i buty, a potem oświadcza uroczyście:

– Kochanie, wpadłem na pomysł bestselleru. Coś jak „Dom nad rozlewiskiem”. W perspektywie sześćset tysięcy sprzedanych egzemplarzy, prawa do ekranizacji. Wszystko się odmieni. Zaufaj mi. I o nic nie pytaj.

Przekręca klucz. Wydostał się z jednej klatki, zmierza do drugiej. Po cichu pokonuje kolejne schody, aż dociera do drzwi swojego mieszkania. Przystawia ucho, przełyka ślinę; cisza. Może śpią; o tej porze wszyscy normalni ludzie śpią twardym snem. Nienormalni w większości też. Nawet Marcelek. Tak cicho, jak to możliwe, wchodzi do własnego mieszkania i od razu przemyka do łazienki, żeby zostawić po sobie jak najmniej pytań i jeszcze mniej dziwnych zapachów. Rozbiera się do naga – ubrania umieszcza na samym dole wypchanego kosza na pranie. Dobrze, że teraz jego kolej; gorzej, jeśli zniecierpliwiona Marta znowu go jutro wyręczy i zacznie wszystko wachać i segregować, jak to ma w swoim kretyńskim zwyczaju. Za chwilę strumień gorącej wody z natrysku rozlewa mu się na twarz, a potem stopniowo obejmuje całe ciało. Nie potrafi się zupełnie rozluźnić, ale przynajmniej ma sposobność na chwilę się zatrzymać.

Potem przebiera się w piżamę i jakby nic się nie stało, wchodzi do łóżka. Marta jest czujna, budzi się, ale wzrok ma nieprzytomny. Szybko przewraca się na drugi bok, a kiedy on usiłuje się do niej przytulić, wkupić w jej łaski, odtrąca go. Na szczęście nic nie mówi, nie krzyczy. Po prostu ma wyraźny zamiar zignorowania go.

Pewnie nie chce obudzić Marcelka. Albo oszczędza siły na jutro. A może nie znajduje już właściwych słów.

– Boże, Rafał, obudź się! – Marta krzyczała mu nad uchem, potrząsając nim.

Wytrzeszczył oczy i patrzył na nią oniemiały; wciąż jeszcze znajdował się na pograniczu dwóch światów. Czyżby to wszystko przyśniło mu się – jak ostrzeżenie? Może będzie mógł odetchnąć z ulgą, doceniając wreszcie zbawienną bylejakość swojego życia? Wznosić pod niebiosami stabilizację, której na drugie imię było stagnacja.

– Rafał, panowie z policji przyszli – powiedziała roztrzęsionym głosem, sprowadzając go na ziemię. – Boże, nie wiem w coś ty się wpakował.

– Uspokój się. O co w ogóle chodzi? – pytał, ubierając się w pośpiechu. Spodziewał się, że taki moment nadejdzie, ale nie sądził, że stanie się to tak szybko.

– O jakąś młodą kobietę. Ty mi powiedz, o co tu naprawdę chodzi!

– Jezu... Co im powiedziałaś? – Słyszał wyraźnie obce męskie głosy na korytarzu. Poczuł nawrót paniki.

– Prawdę... – wyszeptała pobladłymi ustami, zupełnie jakby i ona czegoś się obawiała.

– Jaką prawdę?

– Że byłeś wczoraj w hotelu Gdynia... Boże...

– Zwariowałaś? Może trzeba było najpierw porozmawiać ze mną, zanim cokolwiek powiesz, albo po prostu zamknąć się? – wrzasnął na nią, a ona spuściła wzrok.

– Nie będę kłamać. Musisz mi najpierw wszystko wyjaśnić. Tu i teraz.